

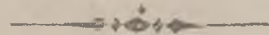


ONBYNA



Druskienickich źródeł

Rok 1845.

ZESZYT PIERWSZY.



WRODNO.



ONDYNA



Druskienickich źródeł

PISMO ZBIOROWE

dla zdrowych i chorych,

w czasie czteromiesięcznego u wód mine-
ralnych pobytu.

Wydawca

K. WOLFGANG.

Cały ród ludzki prosił o jedno u Boga,
o światło.

ROK 1845.

Zeszyt pierwszy.

PRODNO.

W DRUKARNI RZĄDOWEJ.

Nakład Wydawcy.

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia
po wydrukowaniu exemplarzy prawem prze-
pisanym w Komitecie Cenzury.

Wilno. 1845 roku, 28 Kwietnia.

Cenzor *Jan Waszkiewicz.*

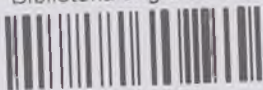


1587
II
WASOP.

DATA

1845

Biblioteka Jagiellońska



1003046456

OD WYDAWCY.

Znajoma już przeszłorocznym gościom Dru-
skienik Ondyna, wita nowo przybywających w
to miejsce. Wprawdzie, nie może ona jeszcze
nie pochlebnego powiedzieć o swoim istnie-
niu, bo nasze pisma, na których szali ważą się
losy nowych w literaturze płodów, nie ozwa-
ły się dotąd z wyrokiem stanowczym, i za-
ledwo pierwsze tylko jej zeszyty łaskawie osą-
dziły — dzięki znanym w świecie piśmiennictwa
naszego imionom szanownych współpracowni-
ków. Zresztą, z głosów publiczności trudno nam
byłoby dać zdanie w sprawie własnej; więk-
szość zaiste, ale może tylko przez grzeczność,
zachęca wydawcę; są jednak i tacy, którzy omal
nie przypisują zjawieniu się tego bóstwa źró-
deł, klęsk dżdżystego lata, zadanych poczciwym
ziemianom. Ztemwszystkiem, łaskawe przyję-
cie większości, tudzież chętne czytanie Ondy-
ny, której zbyt uboga przeszłoroczna sukien-

ka tylko do salonow arystokracji naszej wstępu nie dozwoliła, ożywia nas nadzieją i pobudza do dalszych usiłowań, a tych główną sprężyną jest zawsze dobro powszechne, dążeniem zaś postęp.

Jeżeli Ondyna nie śmie rościć sobie prawa do zasiadania w rządzie dzieł poważnych i wielec uczonych na polkach księgozbiorow, życzyłaby sobie przynajmniej zająć stanowisko przyjemnego lecz oraz pożytecznego pisma, zdolnego z niektórych względow odpowiedzieć sprawiedliwemu żądaniu tych, którzy nieszukając doskonałości w ludziach, lub niewymagając po nich wiele, umieją wszakże oceniać i korzystać z chęci dobrych i zalet, byleby tych nie przeważaly wyraźne i grube błędy. Po tak ostróżnem, uprzedzającym surową krytykę przemówieniu, miłość własna wydawcy pozwala mu przedstawić stronę, z której zdaje mu się słusznem dla siebie i dla miejsca pobytu swojego, niejakię szukać zasługi. Zaiste, ukazanie się Ondyny niewiele zdoła przydać blasku wieńcowi piśmiennictwa naszego, tak pięknemi utworami współczesnych znakomitych talentow jaśniejącemu; ale pierwsze tego rodzaju pismo, wydawane w miejscu dołąd nieprzystępnem literaturze, gdzie ani drukarni polskiej, ani księgarni, a zatem koniecznie potrzebnych do ułatwienia przedsięwzięcia, pomocy nie było żadnych, i czytających nader

mała liczba; pismo powiadam w takim wychodzące miejscu, a nieźle, jak na pierwszy raz, (jeśli nie z powodu nowości) przyjęte, tem samem już dowodzi dobrego usposobienia duchowego publiczności, wydawcy zaś prawdziwa sprawuje przyjemność niezupełnie może chybionego celu.

Ztemwszystkiem jednak, niechaj nam wolno będzie zrobić tutaj uwagę, żeśmy się ze strony szanownych pisarzy naszych, mianowicie Litwinow, synow muzy Wileńskiej, większego nieco spodziewali współczucia dla pisma, które samotne w tej krainie, woła pomocy współrodaków, a wszakże zbyt mało widzi przyjaznych podanych sobie dłoni. Czyliż nie milej, nie pożyteczniej byłoby dla nas wszystkich, jeślibyśmy się zgodnie, wspólnemi siłami bronili od wspólnych nieprzyjaciólek naszych *ciemnoty i próżnowania*? Czyliż nie obowiązkiem nawet sumienia naszego, byłoby podsycać blade światelko nowo zapalonej lampy? Nie miejcie nam za złe mniej łaskawi autorowie, tej lekkiej wymówki, w której nie tak obwiniamy znaną szlachetność uczuć waszych, jak raczej niejakaś opieszałość w sprawie mniej was może obchodzącego zakątka, lubo wspólnej nam wszystkim krainy. Nie tracimy jednak nadal nadziei, pokładanej w ogólniejszem niż dotąd uczestnictwie, i dlatego też nie ustajemy w przedsięwzięciu.

Najtrudniejszym bywa początek, a ten z pomocą Bożą i kilku łaskawych współpracowników, udało się nam zrobić, lubo z niemałemi walcząc przeszkodami; wiemy także iż koniec uwieńcza dzieło na drodze postępu, i to jest właśnie naszym hasłem dalszych usiłowań.

DO

POSTRZEŻEN LĘKARSKICH

Artykuł nadesłany przez Teodora Narbutta.

Pewien obywatel, który nazwisko swoje pozwala wymienić tylko początkowemi głoskami M. S. udzielił mi nader obszerne opisanie własnego uleczenia i postrzeżeń odnoszących się do działalności wody mineralnej w Druskienikach, dozwalając oraz umieścić je w piśmie niniejszem, w kształcie jaki się najprzyzwoitszym zdawać będzie. Wyrażając mą wdzięczność za przyczynienie się ku dobru powszechnemu tak zajmującym opisaniem, ułożyłem niniejszy artykuł w treściwy porządek, a skracając nieco opowiadanie, przytaczam je w osobie samegoż chorego.

Gdym z powodu okoliczności domowych opuścił służbę wojskową, ożeniłem się i urządziłem gospodarkę na własnym zagonie. Lecz wkrótce dotknięty zostałem jakąś niemocą w nogach; najprzód w lewej a potem w prawej. Wyczerpnąwszy niemało środków lekarskich w domu, widziałem się zmuszonym udać do Wil-

na, w nadziei zapobieżenia grożącemu kalec-
twu. Niestety! i w stolicy patryarchow sztu-
ki lekarskiej w naszym kraju, nie odzyskałem
zdrowia, owszem z największą boleścią przeko-
nałem się, iż wszyscy prawie tameczni leka-
rze, nazywając cierpienie moje sparaliżowaniem
muskulów, za nieuleczonego mię uważali; na-
wet użycie wód mineralnych zagranicznych, za
próżną stratę pieniędzy poczytywano. Jakoż istot-
nie i to niemało na uwagę zasługiwało, gdyż
poniosłszy znaczne już koszta, przez pomno-
żenie ich mógłbym narazić żonę, dzieci i sie-
bie kalekę na smutny niedosłatek.

Wróciwszy przeto z Wilna do domu bez
najmniejszej ulgi, wkrótce już zupełnie wła-
dzy nóg pozbawiony zostałem. Wówczas to po-
trzebną mi była cała moc filozoficznej i reli-
gijnej cierpliwości. Temi uzbrojony, z podda-
niem się woli nieba, wypogodziłem nieco umysł,
i zająłem się urządzeniem sobie najdogodniej-
szych mechanicznych środków do przenoszenia
się z miejsca na miejsce; a własnego wynalazku
krzesło na kółkach, które dość łatwo swo-
jemi siłami posuwać mogłem, służyło mi za je-
dyną dźwignię i pomoc w odbywanych ruchach.

W najsmutniejszym więc stanie bezwład-
ności spędziłem już w domu dwa lata, kie-
dym się dowiedział, iż jeden z moich sąsia-
dów, ubogi szlachcic, oddawna bezwładne ma-
jący ramię, świeżo powrócił z Druskienik zu-

pełnie uleczoney. Wiadomość ta zrazu zabłysła mi promieniem nadziei, z którą już tak dawno rozbrat byłem uczynił, i zacząłem już rozmyślać, azaliby też i mnie te wody nie przywróciły postradanej władzy członków. Wszakże, bliższa rozwaga nakazywała mi powątpiewać o możliwości uleczenia choroby, w której obojętność uczonych lekarzy na skutki zagranicznych wód mineralnych, nie dozwoliła mi tembardziej spodziewać się, ażeby jakieś tam nieznanne prawie nadziemnowe źródła, przynieść mogły pomoc w tak ważnem i zadawnionem cierpieniu. Ztemwszystkiem, widząc się osobiście z moim ulezonym sąsiadem, i przekonawszy się naocznie o zadziwiających na nim skutkach Druskienickiej mineralnej wody, kiedy się jeszcze dowiedział od niego, że i ktoś inny równie jak ja, lubo w jednej tylko nodze od lat kilku władzy pozbawiony, po pięciotygodniowem użyciu tamecznej wody, o mil ośm pieszo powrócił do domu i teraz ulezonym czuje się zupełnie; wówczas mimo wszelkie rozumowania, przewaga nadziei rodzącej się w mem sercu skłoniła mię do tego, ażebym przeciw probując szczęścia, udał się do tych cudownych Druskienik.

Tak więc korzystając jeszcze z ubiegającego lata, w 1814 roku dnia 28 sierpnia wyjechałem z domu, a 30 przybyłem do Druskienik. Gospodarz do którego chaty we wsi za-

jechałem, nazywał się *Suruutis*, człowiek uprzejmy, usłużny i wcale w wymaganiu nagrody umiarkowany. (*) Miałem w jego chacie mieszkanie przez sień tylko od izby gospodarskiej podzielone, jedyne wówczas najdogodniejsze pomieszczenie dla chorych. Sam gospodarz nauczony przestrogi ludźmi rzeczy świadomych i własnym z chorymi doświadczeniem, był moim doradcą i lekarzem. Co rano przynoszono mi do picia wodę mineralną w dzbanku glinianym, do wanień zaś brano ją z innego źródła; ogrzewano ją w kotle pod gołym niebem zaraz przy wyjściu ze wsi ku stronie źródeł. Piłem zawsze na czczo i w pewnych przestankach tyle szklanek wody, ile do rozwolnienia żołądka było potrzeba, najwięcej pięć. Dietę zachowywałem ściśle, gdyż mając żołądek zepsuty i osłabiony przez apteczne lekarstwa, oddawna już przywykłem do strawy skromnej i umiarkowanej, napojów zaś mocnych od dzieciństwa nie używałem. Kąpiele brałem codziennie, a ponieważ mi sprawiały przyjemność, siedziałem w wodzie zwykle po całych godzinach. Tym sposobem postępowałem cią-

(*) Ojciec znanego później Benedykta *Suruutis* czyli Surowca, który do roku 1838 wyłącznie prawie zajmował się leczeniem i utrzymywaniem przybywających do Druskienik chorych. Stary *Suruutis* przypadkowo w kłótni z pijanym sąsiadem zabity został. Przed czterema laty syn jego Benedykt sam się za pił gorzałką. — Przyp. Wyd.

gle przez trzy tygodnie, to jest aż do nastania pory chłodnej. Wróciwszy do domu, nie czułem wprawdzie żadnej ulgi co do władzy w nogach, niekiedy nawet znajdowały się chwile dokuczające bole, a po nich pewien rodzaj drętwienia, z czuciem jakby przebiegających po skórze owadów, to z dołu w górę, to znowu z góry na dół. Ale siły trawienia i stan żołądka tak mi się znacznie polepszył, że i chęć do jedzenia dawniejsza wróciła i ogólnie czułem się zdrowszym w sobie, gdyż i sen miałem już zupełnie dobry, jakim uprzednio bardzo rzadko cieszyć się mogłem. Tak wyraźnie zbawienne działanie Druskienickiej wody zachęciło mię do powtórnego jej użycia. W następnym więc roku przy końcu maja, korzystając z dni ciepłych i pogodnych, pełen ufności i nadziei, pośpieszyłem do Druskienik. Leczyłem się przez trzy tygodnie tymże samym jak uprzednio sposobem, a nadto kąpałem nogi w ogrzanej wodzie mineralnej z zielem czyli gatunkiem trawy błotnej, rosnącej u samych źródeł. — Tę dobywać kazałem z korzeniami, razem z błotem czyli mułem, gdyż łodygi zjadane były przez bydło i owce, chciwie tę roślinę pożerające: okoliczność ta naprowadziła mię na domysł, że trawa tam rosnąca, posiadać musi smak słonej wody, którą przesiękły błota, o czem się też w istocie przekonałem. Tym sposobem przez cały ciąg mojej kuracji, mo-

czyłem czyli raczej parzyłem nogi w dość gorącej wodzie, i postrzegłem że mi z tem lepiej być zaczynało. Po trzech tygodniach regularnego picia wody, naznaczyłem sobie wypoczynek dwótygodniowy co do wewnętrznego jej użycia. Codziennie jednak, zrana brałem wannę, wieczorem zaś idąc do pościeli, naparzałem zwykłym sposobem nogi, które niewycierając, wkładałem w worki flanelowe, i tak je aż do następnej wanny zostawiałem. Po upłynieniu zamierzonego czasu wypoczynku, powróciłem znowu do picia wody, a wówczas już wanny co drugi dzień tylko, naparzania zaś ciągle codzień robiłem, aż nakoniec jeszcze przez tydzień przy samych tylko naparzaniach, bez użycia wewnętrznego i bez kąpieli, pozostałem.

W skutek takiego sposobu postępowania, stan zdrowia mego o tyle się polepszył, że na prawej nodze dość silnie wspierać się i utrzymywać stojący mogłem, lubo jeszcze lewą za ledwo władać tylko byłem w stanie. Ztem-wszystkiem, podparty szczudłem pod ramię, nie-żle już przechadzałem się po pokoju. O jakaż to była radość i uszczęśliwienie rodziny mojej, gdy za powrotem do domu po tak długim stanie bezwładności, ujrzano mię przechadzającego się o własnych siłach, lubo przy pomocy szczudła! Mogłem zaś to uskuteczniać tak długo jak chciałem, bez żadnej dolegliwości.

W następnym 1816 roku, okoliczności

domowe nie dozwoliły mi prędzej wybrać się do Druskienik, aż około połowy lipca. Leczenie się rozpocząłem już według pewnej, własnej metody doświadczeniem nabytej. Szło ono dobrze i dawnym porządkiem przez dni dwadzieście, po upływie których dostałem napadu jakiegoś rodzaju gorączki z ziębieniem i paleniem na przemiany, niespokojnością wewnętrzną i nudą, tudzież z bólem głowy, plec, a mianowicie kości pacierzowej od pasa ku dołowi. Musiałem zaprzestać picia wody, kąpiele jednak brałem codziennie w chwilach ziębienia. Po dniach ośmiu gorączka ustała, opuściłem łożo, i postrzegłem z radością, że się już na obu nogach zarówno mógł utrzymać. Dni sześć lub siedm wypocząwszy, wróciłem znowu do picia wody, wanien i naparzań. Tym sposobem postępując jeszcze przez trzy tygodnie, odrzuciłem szczudło i bez niego już udałem się na łono uszczęśliwionej rodziny mojej, uleczony kaleka, i czując się tak zdrowym wewnątrznie, jakem się czuł w młodości, lubo już w owej epoce liczyłem sobie 45 lat wieku. Dotąd zdrów z łaski Boga jestem, i żadnych nie używam leków, tylko w codziennych modłach składam dzięki Najwyższemu, że krainę naszą obdarzył tak cudownie leczącemi wodami w Druskienikach.

* * *

Wydawca ze swojej strony oświadczając najszczerzą wdzięczność troskliwemu o dobro ciera-

piącej ludzkości autorowi niniejszego opisanie choroby, tyle zajmującego nietylko ze względu skuteczności źródeł naszych, ale i z powodu że już tak dawno, bo przed trzydziestą przeszło laty, siła ich leczebna znajomą była, ubolewa oraz nad obojętnością w tej mierze lekarzy, którzy mając wiele zręczności robienia w Druskienikach pożytecznych dla ogółu postrzeżeń, zbyt skąpi są w ich udzielaniu pismu naszemu. Zaiste przyczyną tego być mogą liczne zatrudnienia powołania; lecz właśnie obowiązkiem jest jego, niosąc pomoc szczegółową chorym, przyczyniać się o ile można do dobra powszechnego. Spodziewamy się przeto ufając obietnicom, że w ciągu bieżącego roku będziemy w stanie ogłosić w Ondynie postrzeżenia czynione przez niektórych lekarzy praktyką w Druskienikach zajętych. Tymczasem obiecujemy z pewnością, w następnych zeszytach umieścić własne uwagi nad skutecznością naszych źródeł w cierpieniach mianowicie paralitycznych, do jakich odnosi się powyżej przytoczone opisanie choroby, a których liczne co roku przykłady, nastęrczyły nowe obszerne pole robienia postrzeżeń na własnem doświadczeniu opartych.

WIADOMOŚĆ

O ŹRÓDŁACH SŁONYCH W LITWIE.

Niezaprzeczoną jest rzeczą, że Litwa od najdawniejszych czasów, miała sol z własnych krajowych warzeln. Sposób ten postępowania z wodą słoną, jeżeli nie był miejscowym wynalazkiem, powziętym być mógł od Rusinów, którzy około *Starorussy* w bardzo dawnych wiekach wywarzali sol z tamecznych wód słonych; w południowej zaś słowiańszczyźnie sol warzonka była dość pospolitem nabyciem. Gospodarze rządy wielkich książąt litewskich, nie mogły zostawić tego przemysłu bez miejscowej korzyści, gdy się wody słone nastęrczały z daru przyrodzenia.

Te, że nie na jednym tylko miejscu znajdowały się na Litwie właściwej, mielibyśmy dowód z uroczysk dość licznych, sol w pierwiastku swego narzeczenia mających. *Soleniki*, *Soleczniki*, *Solcza* i tym podobne ze słowiańskiego — *Druskieniki* (*) *Druskuny*,

(*) Takich nazwań cztery poznałem: 1) nad Niemnem, 2) nad Dzitwą w parafji Raduńskiej, 3) między Ejszyszkami i Olkienikami w parafji Ejszyskiej, 4) w Starostwie Niemonojkiem parafji Daugowskiej.

Druskudańce, Druskiale i tym podobne z litewskiego. Sam wyraz oryginalnie litewski *Druskas* sol, dowodzi że ten produkt przyrodzenia dla ojców narodu litewskiego nie był obcym, lecz krajowym. Są także podania między ludem gminnym o dawnej obfitości soli lutejszej, którą Opatrzność udzielała tem obficie, im sąsiedzi zagraniczni z większą oszczędnością dostawiać ją do Litwy usiłowali, i cenę podnosili niewypowiedzianie. Lecz pominąwszy ciemne podania, znajdujemy ślad dyplomatyczny rzecz w mowie będącą pojaśniający.

Za króla Stefana Batorego, lekarz nadworny królewski, Mikołaj Bucelli, miał przywilej wyłączny wywarzania soli kuchennej w warzelniach litewskich. Po zgonie tego króla, Zygmunt III. osobnym przywilejem potwierdził Bucellemu to prawo, w słowach: „Iż gdy najprzedniejszy doktor nasz szlachełny Mikołaj Bucelli, stateczność, wiarę i pilność, tak nam jako i przodkom naszym ś. pamięci Stefanowi królowi w posługach swych pokazował; za rzecz słuszną się nam zdało, abyśmy na posługi jego względ mieli i do dalszych chętniejszym go uczynili; przeto jako za przodka naszego przez kilka lat warzenie soli po Wielkiem Księstwie Litewskiem w mocy swej miał, co było z pożytkiem szlachty i obywatelów naszych tego księstwa; tedy też teraz tak temu ich pożytkowi dogadzając, aby dla obfitości soli, tem

mniejsza cena jej była, jako i pomienionego doktora naszego rzeczy podpierając, wolność warzenia soli po Wielkiem Księstwie Litewskiem, do żywota jego dajemy mu, i niniejszym listem pozwalamy: tak iż wolno mianowanemu Bucelli, na którem jednokolwiek miejscu będzie rozumiał najlepiej, bądź to w dobrach naszych królewskich, abo też i szlacheckich, byle za pozwoleniem dobrowolnem dzierżawcy albo pana miejsca onego, sol warzyć; której wolności soli warzenia do żywota jego nikomu inszemu, oprócz jego samego, w Wielkiem Księstwie Litewskiem nie pozwolimy, a choćbyśmy też i za naleganiem czyjem, to komu pozwolili, tedy aby to nieważne było, chcemy i niniejszym listem uchwalamy. A względem tego przereczony doktor Bucelli do skarbu naszego nie dawać nie będzie, ale to wszystko na swój pożytek obracać, jako i za przodka naszego czynił. i t. d. W Warszawie dnia 15 Augusta, R. P. 1590. Panowania naszego trzeciego.“ (*) Podług tego rzecz wątpliwości nie ulega, że Litwa miała swoje własne warzelnie soli.

Co zaś do Druskienik, dziś wodami mineralnemi tak zaletnie słynącego miejsca, będzie następny wykład rzeczy dowodem. Mam

(*) W Me^lrykach Litewskich Liber Inscriptionum 77. fol. 146. po polsku. Kopia u mnie, zbiór własny Księga F. N: 206. fol. 346.

pod ręką Testament w roku 1715. marca 18 sporządzony, i tegoż roku września 21 do akt Grodzkich Lidzkich wniesiony, w którym wyrażono: że dziad testatora Antoniego Micewicza, Adam, mając sumnę zastawną u Stefana i Eleonory z Podejkow Przyłęskich, na fortunie Pielasa Przełęska zwanej, opartą, złotych polskich pięć tysięcy sześćset, gdy w roku 1,635 spleconym został, nie w zupełności należność swoją odebrał, ale tysiąc złotych na obligu przez obójga Przyłęskich wydanym, pozostało. Następnie roku 1,638 stycznia 18 Adam Micewicz zabitym został przez zbójców, gdy jechał do Przewalki dla zakupu znacznej ilości soli warzonki Druskienińskiej; przy nim będące pieniądze, różne papiery i wzmieniony oblig zabrane przez niewiadomych zbójców, zaginęły. Z tego powodu summa zł. pol. tysiąc od Przyłęskich dotąd nie została odebraną. i t. d. (*)

Zmarły w roku 1826 Ignacy Emanuel Lachnicki osnuł zamiar poszukiwania źródeł słonych na powierzchni ziemi, a w jej wnętrzu soli kamiennej na Litwie. Wnioski jego musiały być oparte na niepłatnych zasadach, gdyż Rząd ogłosił okólną odezwę do mieszkańców gubernij Litwę niegdyś składających, pod datą roku 1825 kwietnia 16 od Departamentu Górni-

(*) W papierach szlachty Okolicy Stwierowszczyzny parafji Nackiej. —

czego pod N: 518, (*) w której zachęcano obywateli do poszukiwania w ich dobrach, lub gdzie bądź w Litwie źródeł słonych i soli kopalnej.

Nie wiemy jakie ztąd skutki wynikły, zwłaszcza, że gorliwy i pełen wiadomości o rzeczach kopalnych Lachnicki, jak się rzekło, wkrótce żyć przestał. Wszelako w Druskienikach zaszły poszukiwania, o których mam wiadomość z opisanja pobytu u wód tamicznych mineralnych przez pana Antoniego Kamieńskiego, b. sędziego granicz. powiatu Lidzkiego, zostawionego w rękopisie pod datą roku 1826. Z czego pominąwszy szczegóły kuracji niepomysłnej, przytoczę wyjątek niemałej wagi.

W sierpniu przybył (do Druskienik) urzędnik górniczy, Niemiec, nie pamiętam nazwiska, (**) podobno z Warszawy od Rządu zesłany. Zawinął się on około śledzeń wewnętrznych warst ziemi, za pomocą świdra górniczego. Zresztą, całe jego postępowanie było tajemnicą pokryte, wiedzieliśmy tylko, że szło o wyszukanie pokładów soli. Wieśniacy tamiczni ściskali ramionami, śmieli się w duchu i żadnym sposobem nie chcieli temu wierzyć. Im się zdawało, że kruszców drogich, lub skarbu zakłętęgo wyszukiwał ten tajemniczy przybylec; co chcąc zakryć, wymyślił gadkę o soli

(*) Dziennik Wileński. Rok 1825. T. I. str. 463.

(**) Uhlmann.

podziemnej. W istocie ten mistrz górny obrał miejsce najnieprzyzwoitsze do doświadczenia; właśnie na samym usypie piaszczystym, powstałym z nanosu rzecznego, w bliskości doliny na prawej stronie rzeki Niemna, w niższym jej końcu, o kroków kilkanaście od mniej słonego źródła, z którego wodę brano wówczas na wanny. Jakoż po krótkiem probowaniu, jak widać bez żadnego rezultatu, opuścił ów urzędnik Druskieniki.

Ja z moim zacnym gospodarzem *Suruutysem* — mówi pan Kamieński — często rozmawiałem o tem szukaniu soli, lecz póki obecność poszukujących trwała, nie od niego zbaść nie mogłem; chociaż dawał poznać, że ma pojęcie i wiadomość o tym przedmiocie. W niedzielę, było to 12 września, poszliśmy z gospodarzem nad Niemen do źródeł, i z tego powodu wszcząłem rozmowę o soli kuchennej, jakoby tu z wody źródlanej wywarzanej. — Teraz mogę — rzekł — zaspokoić pańską ciekawość; proszę tylko zachować tajemnicę, gdyż niema potrzeby iżby Rząd o tem wiedział; żadna dlań korzyść nie przybędzie, a dla wsi naszej wielkaby strata wyniknęła, jeżeli tu jakie rządowe zakłady porobią. Wiem, opowiadał dalej, że pan memu słowu zawierzysz, gdyż samo nazwisko moje *Suruutis*, oznacza przełożonego nad solą. (*) W naszej przeto rodzi-

(*) *Surus* po litewsku słony, *utis* albo *wutis*

nie dochowały się podania tutejsze, gdyż ona od wieków zamieszkuje tę wioskę, inne domy od przybylców pochodzą. Śmiałem się ja i dziwiłem nad nieznamomością rzeczy tego pana Niemca, który tu soli szukał, nierozpytałwszy się należycie u ludzi, ani rozpoznawszy położenia miejsca, albo natury ziemi. A potem, uważ pan sam, gdzie tu sol do jedzenia przydatna być może, kiedy woda gorzka? Jaka woda, taka sol; jaka sol, taka woda. Myśmy sami grzejąc wanny nieraz tego doświadczyli; bo kiedy zdarzy się na dnie kotła nieco wody pozostałej, a ogień pod kotłem niedobrze wygasza, to do sucha wygotowana woda, zostawuje warstwą soli, która dziesięć razy mocniejszą ma gorycz od wody samej. — A jednak sam to mówiłeś iż tutaj wywarzano sol kuchenną? — Tak było w istocie — odpowiedział — ale już bardzo dawno. Mój dziadek nieboszczyk Jan, który od trzydziestu lat już nie żyje, a dużo stary umarł, i ten już nie pamiętał owej warzelni, tylko ze słyszenia od swojego ojca czy dziada o niej wiedział. — Wtem zbliżyliśmy się idąc w górę biegu Niemna, do rozległej doliny nadbrzeżnej, o prętów kilkaset od doliny źródeł mineralnych, odległej. Na tej zielonością pokrytej równinie, uka-

przełożony starszyzna, mistrz; więc *Suruutis* znaczy to samo co po niemiecku *Salzmeister*, Zupnik.

zał mi zagłębienie, od brzegu rzeki dość oddalone, porosłe olchowemi krzakami. Tu, rzecz, były właściwe źródła słone, z których wodę w kadziach drewnianych z miedzianemi spodami warzono, później w kottach, a nareszcie sol zbierano w ostudniach czyli naczyniach drewnianych bardzo szerokich i płaskich. Tak zebraną, jeszcze przegotowywano w czystej wodzie niemnowej, a po wystudzeniu zsiadała się sol biała jak mleko, i najprzydatniejsza do kuchni. — Uważając że w tem zagłębieniu żadnego nie było śladu źródeł, zrobiłem uwagę, iż trudno przypuścić aby tu mogła się woda słona kiedy znajdować. — Wszystko z czasem podlega odmianie, powiedział; Niemen tak jak stary, jest też i niestały. Bogu się podobało odjąć nam ten skarb prawdziwy, i Niemen posłuszny woli Jego, wezbrał swe wody jednej pięknej wiosny i zasypał nawałą piasku, tę dolinę; i źródła słone zaginęły odtąd, a wybrzeże całe inną postać przybrało. Sam bieg rzeki pochylił się ku prawej stronie, chociaż to miejsce nierównie się wyższem stało. — Dochodziliśmy przez różne z podań przypomnienia o dawności tego fenomenu, i wypadło z przybliżonej rachuby na środek wieku siedemnastego. — Co się tyczy doliny ze źródłami gorzko słonemi, nie umiał mię objaśnić, azali równocześnie zaszła i na niej odmiana; tylko zważając na starowieczne topole, jej wybrzeże

oceniające, zgodziliśmy się na to, że została niezanieśioną przez tamtoczesne wylanie Niemna. Nie wiedział także czy źródła dzisiejsze mineralne istniały spóźnieście ze źródłami słonej wody, o których rozprawiał, czy też utworzyły się po ich zasypaniu. Wszelako bliżej przypuszczał ostatnie domniemanie.

Co się tyczy poszukiwań w celu wynalezienia nanowo tych źródeł, powiadał, że to rzecz próżna, jak tylokrotne przekonauły doświadczenia dawniejsze, o których słyszał podanie, i świeższe, nawet do jego własnej pamięci zbliżone, które nakładem dwornej zwierzchności Przewalskiej wykonywano — Nie mogliśmy — powiada nakoniec p. Kamiński — nawet śladu odkopywań dawnych na tej dolinie i jej zakłęśności wynaleźć. Zapewne Niemen występując z brzegu, kiedy dosięgał tego miejsca, składał tu warsty szlamu swojego, na którym bujna wegetacja olchowych drzew utworzyła się i pokryła zielonością to szczególne miejsce, ani do czarnoziemu, ani do piaszczystych wydmow niepodobne; ani na pole ani na łąkę nieprzydatne — jakaś mieszanina ziem, której nazwać nie potrafię. —

Teodor Narbutt.

MARYSIA.

Zdarzenie prawdziwe.

Przed kilkunastą laty Państwo S** wzięli byli ze wsi do dworu dwónastoletnią dziewczynkę Marysię, własną poddaną, sierotę. Zrazu oddano ją na folwark do pilnowania ptas-twa, później zaś przeznaczono do usług przy pokojach. Trzy lata spędzone w garderobie pani Podkomorzyny S**, odmieniły to dziewczę do niepoznania. Podrosło, okrzesało się i tak wy-ladniało, że młodzież bywająca w domu pań-stwa S**, wgtos chwaliła zgrabną kibić Ma-rysi, jej rumianą twarzyczkę, jej czarne oczy i piękne długie włosy, jakimi nietylko córki pani Podkomorzyny, lecz żadna z dam i panien w sąsiedztwie pochłubić się nie mogły.

Pochwały te nie były rzucone na wiatr. Marysia słysząc je ciągle, zwróciła więcej uwa-gi na siebie, na swój ubior, układ i obejście się swoich panienek z gośćmi, i wkrótce bar-dzo dobrze mogła je naśladować nietylko w gus-townem ubraniu głowy i sposobie oddawania ukłonow, lecz i w sztuce słodkiego spójżenia i nawet w rozmowie. A trzeba wiedzieć że

to była lotna, żywa i bystrem pojęciem obdarzona dziewczyna. Brakowało jej tylko światowego wykształcenia, tego zewnątrz błyszczącego poloru, który się tak łatwo przez otarcie z ludźmi nabywa; tembardziej że częstokroć to wykształcenie chwytą się prawie oczami w przelocie, a potem wyrabia instyktowem przecuciem przyzwoitości i pewnego taktu postępowania, które u wielu osob, jak sumienie, rodzi się w duszy, a zalada zręcznością obudza. Z łatwością więc Marysia nauczyła się od panienek czytać i pisać, od ochmistrzyni liczyć; nabyła też różnych urywkowych wiadomości, a ciekawością podsycana zbierała ich coraz więcej. Zawsze najpierwsza wiedziała o wszystkim co się działo w domu, podstuchiła każdą gawędkę, umiała z niej skorzystać i wpaść na domysł, patrząc udać że nie widzi, słysząc że nie słyszy, zapytać i odpowiedzieć zręcznie.

Niech tylko kto się zdarzył z gości, Marysia wypróbowała zaraz przed zwierciadłem wszystkie salopy, mantyle, szale i kapelusze; zaraz udała jak najdokładniej uśmiech, ukłon i przywitanie każdej damy, każdego mężczyzny.

Do usług nie było zwinniejszej, do robot zdatniejszej nad nią: a zawsze zdrowa, rumiana i wesola, i choć skromnie ale czysto i starannie ubrana. Słowem, była to pokojówka tak sprytna i piękna, że p. Podkomorzyna nie tyle z córek ile z niej słynęła.

Wkrótce też wdzięki Marysi rozwijające się coraz więcej, a ztąd głębsze pochwały, sprawiły wrażenie na p. Podkomorzym. Wprawdzie, zawsze on łaskawem okiem patrzył na Marysię, lecz od niejakiego czasu treścią już i czułości przebijało się w jego spojrzeniach — które zresztą najniewinniejsze może, nie podobały się jednak p. Podkomorzyniej. Zwróciła pilną baczność na męża, i znieawidziała Marysę. I razem, pracowita i dobra służąca, w oczach swej pani, zmieniła się w niedbałą i płochą dziewczynę, zajętą tylko zalecaniem się do mężczyzny. Zakazano jej wstępu do pokojów przy gościach, a jeśli przekroczyła ten zakaz, zwykle odbierała połeczek.

P. Podkomorzy litował się nad biedną Marysią, bo jakże się nie litować nad ładną prześladowaną dziewczyną? Na widok też bliźniego, litość bywa najprostszem, najpierwszem uczuciem; ale przez łezkę błyszczącą w pięknem oku, wkrada się często jakieś nieoznaczone zrazu uczucie, z czasem przeradzające się w miłość, jakiej niekiedy nawet wesoła i szczęśliwa piękność zrodzić nie zdoła. Wprawdzie, p. Podkomorzy nadto czuł dobrze swoją podkomorską dostojność i nie był już tak młodym ani zapalonym, ażeby się w prostej zakochał wieśniaczcę; jednakże, czy to z przeczcucia i obawy niedozwolonej skłonności, czy może po prostu z obawy gniewu żony, jakkolwiek za-

łował Marysię, nie śmiał jawnie ująć się za nią. Niekiedy tylko jakby od niechcienia starał się przed żoną usprawiedliwiać biedną dziewczynę, lecz i w takim razie litość wychodziła na gorsze, bo p. Podkomorzyna bardziej jeszcze i złośliwiej biła Marysię — już nie ręką w policzek, ale pięścią po twarzy: i gdy ta nieraz z okrwawionem licem musiała umykać z pokoju, aby się wyplakać gdzie w kącie, jej pani powtarzała: — O, to nic nie szkodzi, niech się potrzyzyma za pyszczek, który ciągle do mężczyzn wyszczerzać rada.

Ztemwszystkiem, pomimo krzywdy codziennie wyrządzanej Marysi, twarzyczka jej nie przestawała być piękną, a cicha łza często zawieszona w oku, więcej jeszcze dodawała jej wdzięku. Jest bowiem jakiś tajemniczy urok, jakiś promień duszy rozlewający się na twarzach istot cierpiących niwinnie, który piękność otacza wdziękiem tęsknoty i smutku, jak zmrok z ostatnim promieniem zachodzącego słońca zmieszany. — P. Podkomorzy czuł całą niesprawiedliwość postępowania żony, i rozmyślał jakby osłodzić los niewinnie cierpiącej Marysi, lecz i p. Podkomorzyna ciągle o niej myślała. Powodowana zazdrością, śledziła każdy krok męża; i wkrótce dostrzegła, że p. Podkomorzy jednego razu pogładził zasmuconą Marysię po twarzy, gdy mu przyniosła do gabinetu kawę.

— Czy tak! pomyślała sobie. Poczekajże kochanezku... ja ten romans wnet skończę.

I wyrzuciwszy mężowi na oczy niewierność małżeńską, przedsięwzięła usunąć pokusę. Tej chwili Marysia musiała zrzucić fartuszek i sukienkę, przywdziała szarą siermięgę i została odesłana na wieś do domu swych krewnych.

P. Podkomorzy gniewał się wprowadzie na żonę, lecz unikając zwady, milczał. Tymczasem p. Podkomorzyna, zadowolniona jak zwykle kiedy coś postawiła na swoim, rozumiała że z oddaleniem niebezpiecznej pokojówki, upokorzony małżonek już o niej zapomni; wszakże się zawiodła — bo gdy Marysia przyszła na pańszczyznę do dworu, p. Podkomorzy wypytywał ją o zdrowie i powodzenie, uprzejmie z nią rozmawiając. Nastąpił więc rozkaz, aby to dziewczę nigdy odtąd nie powstało we dworze. Zdarzyło się jednak, że Marysia przynosząc jeść swojej ciotce, w bliskości dworu na robocie będącej, zaszła na folwark napić się wody. P. Podkomorzyna postrzegłszy to z ogrodu, kazała przyprowadzić Marysię, i w obecności swojej niemiłosiernie oćwiczyć agrestem. Tak nieludzkie i okrutne obejście, oburzyło nakoniec sprawiedliwym gniewem p. Podkomorzego, który samem już tylko uczuciem liłości wiedziony, złapał żonę i najsurowiej zakazał nadal podobnego postępowania. Po wielkiej burzy chwilowa nastąpiła cisza; lecz zaz-

drość i chęć zemsty nie wygasły w sercu p. Podkomorzyny; owszem coraz wzrastając, zdawały się mocniej przekonywać ją o miłości męża ku Marysi.

— O, żal tobie kochanki... pomyślała sobie — poczekajno... ja jej lepiej usłużę. — I rozmyślając coby zrobić z Marysią, postanowiła ją sprzedać za jakąkolwiek bądź sumę pewnej Rotmistrzowej, której mąż ze szwadronem huzarów kwaterował w blizkiem miasteczku. Jakoż, podczas niebytności p. Podkomorzego w domu, zaprosiła tę damę do siebie. Rotmistrzowa zgodziła się chętnie nabyć Marysię, którą w tym celu sprowadzono do dworu. Ale nim się targ skończył, nadjechał p. Podkomorzy, i cały plan żony zniszczył kilką słowy, że prawo wzbrania sprzedaży włościąn bez gruntu.

Gdy się więc i to nie powiodło, p. Podkomorzyna uknowała inny zamysł pozbycia się znienawidzianej dziewczyny. Jeszcze tego wieczora wezwawszy starego Ekonoma, złożyła z nim radę, ażeby coprędzej wydać Marysię za mąż za kogokolwiek z obcej sąsiedniej włości.

Usłużny i przebiegły Ekonom, pojąwszy o co rzecz idzie, przyrzekł pani że się postara najściślej spełnić jej życzenie. W kilka dni potem przybył z doniesieniem, że stangret sąsiada p. Sędziego ***, oddawna chciałby się ożenić, ale w swoich stronach żony sobie znaleźć nie może, bo tam nienajlepiej coś o nim gadają.

— Mniejsza o to, rzekła p. Podkomorzyna Niechaj się żeni z Marysią, byle tylko conajprędzej; powiedz mu więc ażeby się natychmiast starał o list pana swojego do mnie, z prośbą żenienia się z naszą poddanką; resztę ja biorę na siebie.

Następnie ułożyła z Ekonomem cały plan postępowania, i wydała mu stosowne rozkazy. Stało na tem, iż Marysia powinna była zostać zaręczoną, skoro tylko p. Podkomorzy z domu wyjedzie. Jakoż, gdy wkrótce interesa powołały go na dni kilka do miasta, nazajutrz po jego wyjeździe, stangret p. Sędziego Andrzej przybył z listem; p. Podkomorzyna zaś kazała wezwać krewnych Marysi. Krewni ci uraczeni gorzałką, musieli się zgodzić z wolą pani, która ich uręczyła że i Marysia bez sprzeczki zgodzi się pójść za mąż. Stangret Sędziego udał się z Ekonomem na wieś, aby tego wieczora jeszcze zapisać zaręczyny, a w przyszłą niedzielę dać na zapowiedzi.

Lecz jakże się zdziwiła p. Podkomorzyna, gdy w parę godzin potem, Ekonom wrócił z doniesieniem, że Marysia nie tylko nie chce słuchać żadnych oświadczeń, ale nawet gorzałki nie przyjęła do ust! Natychmiast kazała przywieźć ją do dworu.

— Dlaczego ty nie chcesz iść za mąż? zapytała, usiłując jeszcze gniew swój przytłumić.

— Bo on pijak JW. Pani, odpowiedziała płacząc Marysia.

— A ktoż ci o tem powiedział?

— Wszyscy tak mówią, i ja nie cierpię jego...

— Co..? zawołała p. Podkomorzyna, nieposiadając się już ze złości. Jak śmiesz mi prawić takie rzeczy i jeszcze z takimi fonframami...?.. Ja każę, a ty musisz pójść za niego...

— Niech JW. Pani zlituje się nademną... rzekła Marysia padając do nog p. Podkomorzyny. Ja biedna sierota...

— Ty nie sierota, ale niecnota.. odrzekła trącając ją nogą. Ty zepsuta i rozpustnica jesteś...

— W domu JW. Pani nigdy nie było rozpusty...

— Co..? jeszcze śmiesz odpowiadać! krzyknęła p. Podkomorzyna — i porwawszy Marysię za włosy, biła ją pięścią po twarzy.

— Słuchaj! — rzekła potem do Ekonoma — rozkazuję ci natychmiast zawieźć ją na wieś i zrobić zaręczyny.

A gdy Marysia upadła znowu do nog swej pani i prosiła ze łzami aby ją nie zmuszano do zamążpójścia, p. Podkomorzyna porwała ją znowu za włosy, wołając:

— Podajcie nożyczki! —

Ze wszystkich skarbow piękności kobiecej, najcenniejszym jest u nich podobno długi i piękny warkocz, którego utrata równa się największemu nieszczęściu, i przyprowadza do rozpacz. Marysia widząc niepodobieństwo uniknienia tak okropnego wyroku swej pani, nieprzytomna prawie i drżąca oczekiwała spełnie-

nia jego. Lecz córki p. Podkomorzyny, w których sercu litość przewyższała nawet zazdrość, jaką szlusznie wzniecać mogły śliczne włosy Marysi, usłyszawszy z przyległego pokoju okrutny rozkaz matki, przybiegły do niej z płaczem, i przy najusilniejszych prośbach i błaganiu, całując niemilosierne ręce, tak długo je wstrzymywały, aż nakoniec wymodliły cofnięcie wyroku.

P. Podkomorzyna powstała z krzesła, i szybko przeszedłszy po pokoju, rzekła:

— Na wasze prośby zostawiam na niej te kudły; ale idźcie spać i nie wtrącajcie się w nieswoje rzeczy — dodała zamykając drzwi za wychodzącymi córkami.

— A ty — zawołała podchodząc do Marysi — chociażbyś się rozplynęła we łzach, dlatego musisz pójść zamąż i pójdiesz... Gadaj mi! pójdiesz czy nie?

Nieszczęśliwa ofiara płacząc i łkając, milczała.

— Każ przynieść różeg — rzekła p. Podkomorzyna do Ekonoma. A gdy Ekonom przybył z ludźmi, przyniósł kilka pęków różeg, chwyciwszy Marysię za ramię, krzyknęła:

— Cóż..? pójdiesz zamąż czy nie?.. Mów! bo każę cię bić, nim nie wyzioniesz ducha...

Biedne dziewczę strwożone i zbladłe, nie mogło przemówić słowa.

— A więc weźcie ją! i bić nieżałując, aż nie powiem dosyć...

I bolesne jęki Marysi napełniły pokój p. Podkomorzyny, która za każdym uderzeniem zapytywała jęczącą:

— A co? pójdiesz zamąż?..

Ale gdy mimo silne razy sypane z ekonomskiej ręki, Marysia znosząc ból, nie powiedziała czego się od niej domagano, p. Podkomorzyna krzyknęła, aby podano spirytusu i soli.

— Nie mówisz że pójdiesz zamąż — rzekła przekreślając sobie na głowie czepek — to terazże powiesz, jak cię pokropię i posypię... Prędzej spirytusu i soli!

Marysia milczała ciągle, a chociaż Ekonom bił ją coraz mocniej, nie wydała już nawet jęku.

— Czy nie słabo jej czasem JW. Pani?

— Nie, to taka złość zacięta... Ale puścić ją!.. zawołała p. Podkomorzyna; a gdy przyniesiono sol i spirytus, dała go powąchać Marysi siedzącej na posadzce, i rzekła:

— Widzisz jaki mocny! a będzie mocniejszy jeszcze jak przymieszam soli. Mów! czy pójdiesz zamąż czy nie?

— Pójdę JW. Pani, odpowiedziała drżąca Marysia.

— No, to dobrze, podchwyciła p. Podkomorzyna, a potem rzekła do Ekonomia.

— Ruszaj po jej narzeczonego na wieś i zaraz go tu przywieź, a ja sama zrobię zaręczyny.

Tymczasem zaś kazała ochmistrzyui za-

prowadzić Marysię do garderoby, a sama udała się do przybocznego składu. Tam przerzuciwszy w paku stare suknie, wybrała z nich co gorszego, i wzięwszy kilka wynoszonych czepkow i wstążek, kazała nieść służce za sobą.

— Oto masz i wyprawę, rzekła do Marysi, stojącej przy piecu z rozrzuconemi włosami i podartą na piersiach od targania koszulą. Ekonom da dla was 20 garncy wódki i beczkę piwa, a ochmistrzyni resztę co będzie potrzeba na wesele. Czy słyszysz?

— Słyszę JW. Pani, i bardzo dziękuję, odpowiedziała Marysia, schylając się do kolan p. Podkomorzyny.

— Nie potrzeba tych pokłonów, odrzekła: ja i więcej dam jeszcze, bylebyś była dobrą.

W tej chwili Ekonom przywiozł ze wsi narzeczonego, ale on był tak pijany, że ledwo trafił do drzwi. P. Podkomorzyna jednak niezważając na to, przyprowadziła Marysię do niego, kazała im podać sobie dłonie, pobłogosławiła i udała się na spoczynek, zaleciwszy ochmistrzyni dać dla narzeczonych wieczerzę i półgarnca miodu.

Zalecenie to wykonano najściślej, lecz narzeczony za ledwo wychylił szklanekę miodu, zwałił się z nog i zasnął. Marysia jak senna patrzyła na to wszystko i nieskosztowawszy wieczerzy, odjechała bryczką ekonomską na wieś.

Nazajutrz gdy narzeczony przyszedł dzie-

kować p. Podkomorzynej za jej łaskę, i gdy ka-
zała mu zabrać i oddać Marysi wyprawny po-
darunek przez nią zostawiony, wójt przybyły
ze wsi doniósł, że Marysia znikła przededniem
z domu swego wuja, a tylko jej odzież i chust-
kę na brzegu rzeki znaleziono.

Wieść ta przeraziła p. Podkomorzyne, gdyż
wszyscy utrzymywali, że Marysia pewno się
utopiła. Każdego we wsi rozpytywano o nią,
rozesłano ludzi szukać jej ciała po brzegach i
zatokach rzeki, ale napróżno.

Wkrótce wrócił z podróży p. Podkomo-
rzy i dowiedział się o wszystkim. Okropne
było jego spotkanie i rozprawa z żoną, która
ze zgrzyoty zachorowała i dni kilka przeleża-
ła w łóżku. Ale się na tem nie skończyło.
O zniknięciu Marysi doszła wiadomość do urzę-
du i nastąpiło śledztwo, o którym p. Podko-
morzyna długo zapomnieć nie mogła. Jednakże,
gdy mimo wszelkie poszukiwania, nigdzie nie
znaleziono ani żywej ani zmarłej Marysi, a
nie chciano przypuścić jej śmierci; zrobiono wnio-
sek, że musiała pociągnąć za pułkiem wyszłym
do Bessarabji.

* * *

Pani Podkomorzyna uspokoiła się nakoniec
powszechnie krążącą pogłoską, że w rzeczy sa-
mej Marysia poszła za huzarami, a Ekonom w
kilka tygodni potem wróciwszy z jarmarku,
klął się niebem i ziemią, że były arendarz p. Pod-

komorzego, widział na własne oczy Marysię jadącą w koczku za pułkiem. Ztemwszystkiem, ludzie długo jeszcze gadali o okrutnem sercu p. Podkomorzyny, która lubo się zrzekła na zawsze zaręczać i wydawać zamąż swoje służące, była wszakże ostróżną nie mieć już więcej w domu młodych i ładnych pokojówek.

Nareszcie zapomniano o Marysi zupełnie: dawna harmonja między p. Podkomorzyną i jej mężem wróciła, a dorodne ich córki nie tylko nie pozwalały im myśleć o kłótni, lecz zniewalały do tej jedności, jaką zwykle uważamy w rodzicach zajętych losem swych dzieci. Jedność ta była nawet potrzebną, gdyż obie panny Podkomorzanki podbiwszy serca dwóch bogatych młodzianow, gotowały się do stanu małżeńskiego. Po dwómiesięcznym pobycie w Warszawie, opatrzone w kosztowną wyprawę, właśnie powracały z rodzicami do domu. Ciężki ekwipaż podróżny, poprzedzony dwiema nowymi karetami, toczył się powoli. P. Podkomorzy drzemał w nim spokojnie, p. Podkomorzyna zcicha rozmawiała z córkami, gdy wtem koła pojazdu zapadły i nim się dowiedziano dlaczego, pojazd z załamanyim mostem, spuścił się do rowu. Szczęściem podróżni żadnego nie doznali szwanku, prócz przestachu i wstrzęsienia; lecz konie ich mocno się skaleczyły.

Po wydostaniu się z rowu i dojeździu do karet, które uszły przypadku, rodzina p. Pod-

komorzego musiała się zatrzymać na drodze i posłać służącego do blizkiego dworu, aby uprosić ludzi dla wydobycia pojazdu i koni. Ale już zmierzchało i nim nadeszli ludzie, pośpieszył naprzód sam dziedzic dworu, i przeprosiwszy podróżnych za traf zdarzony na jego moście, zaprosił do swego domu.

Młoda małżonka dziedzica uprzejmie spotkała przybyłych, lecz zaledwo wprowadziła do pokojow i powitała przy świetle podanem w tej chwili, p. Podkomorzyna zwracając się do córek, zawołała:

— Ach jak mi słabo!

I usiadłszy coprędzej na sofce przy drzwiach, zbladła i drżeć zaczęła. Córki i mąż rzucili się do niej, gospodarze domu pobiegli po kolońską wódkę; ale p. Podkomorzyna rychło przyszedłszy do siebie, oświadczyła że potrzebuje spoczynku. Przeprowadzono ją do osobnego pokoju, a gdy gospodarze i p. Podkomorzy wyszli, p. Podkomorzyna powiedziała do córek:

— Czy wy wiecie z kim się spotykacie w tym domu? Wszakże to nasza Marysia, ta sama o której mówiono że się utopiła, gra tu rolę pani. Ale idźcie do pokoju i nie okazujcie po sobie żeście ją poznały; tylko nieznacznie proście ojca o jak najprędzszy wyjazd; jeśliby zaś o mnie się zapytano, powiedzcie żem zasnęła.

Panny Podkomorzanki osłupiały na te słowa, i bardzo zmieszane wszedłszy do bawial-

nego pokoju, odpowiedziały na zapytanie, że ich matka zasnęła.

— To dobrze, powiedział p. Podkomorzy. Ale czy poznajecie dzieci tę panią? zapytał wskazując córkom gospodynię domu.

Panny Podkomorzanki spojrzały po sobie, i powiedziały że nie poznają.

— A więc poznajcie ją i kochajcie jak własną siostrę, rzekł p. Podkomorzy, bo ta pani zna was i kocha. Jest to dawna przyjaciółka wasza, pani Prezesowa...

I wzięwszy obie córki za ręce, przyprowadził do gospodyni domu, która je uścisnęła i przypomniała się im wyraźnie.

Wtem pan Prezes powiedział do żony:

— No i coż będzie Marynio?.. Już to nie tajno, że twoje spotkanie z p. Podkomorzyną, musiało sprawić na niej nieprzyjemne wrażenie... i choć ty temu niewinna, ale prawo gościnności nakazuje nam przecię obowiązek troskliwości o spokojność i dobry humor gości... Skoro się przebudzi p. Podkomorzyna, postarajże się przekonać ją, iż i ty równie czujesz z powodu tych nieprzyjemnych wrażeń...

— O, ja bardzo czuję nad tem, odrzekła p. Prezesowa, i radabym przeprosić p. Podkomorzynę żem naraziła ją na przykre uczucia, ale się lękam, abym przez to nie powiększyła jej cierpień...

— O, proszę być pewną, zawołały obie panny

Podkomorzanki, upokorzone takim oświadczeniem, że nasza mama uczuje to co i my czujemy i będzie się cieszyć z trafu, który zaprowadził nas do domu pani...

I to rzekłszy pobiegły do matki, a okrywając pocałunkami jej ręce, błagały i zaklinały na wszystko, ażeby zapomniała o swych urazach do Marysi. Ale p. Podkomorzyna miotana wstydem i dumą, ani słuchać córek nie chciała; a gdy nie mogły niczego dokazać i zaczęły płakać, wtedy powiedziała:

— Dziwno mi że tak mało cenić siebie umiecie. Jakież z was będą żony i obywatelki, kiedy zmuszacie matkę przeproszać własną poddankę za to, że ona uciekła!..

— Ależ mamu kochaua, już trzeba o tem zapomnieć... Już ona nie jest poddanką, lecz równą nam obywatelką...

— Nie, ja nigdy nie zapomnę o tem, odpowiedziała zimno p. Podkomorzyna; i jeśli będziecie mi się uprzykrzać, gotowa jestem, choć w nocy, natychmiast ztąd wyjechać.

— Niech mama droga zmiękczy się naszymi prośbami... spełnienie ich będzie dobrodziejstwem dla nas...

I znowu poczęły całować ręce i nogi matki tak czule i serdecznie, że p. Podkomorzyna nie mogła się wstrzymać aby nie ucałować córek nawzajem.

— I czegoż wy moje dzieci chcecie odemnie?

rzekła łagodniejszym głosem, który jakby był owocem westchnienia, mimowolnie wydobytego z jej piersi, prośbami i łzami córek przy niej klęczących.

— Zapomnij droga mamó o twoich urazach do Marysi...

— To i cóż będzie jeśli zapomnę?

— Przyjmiemy to za dowód największej łaski dla nas...

I gdy zaczęły znowu okrywać pocałunkami jej ręce, zmiękczyło się serce macierzyńskie.

— A więc zapomniałam już i nie gniewam się na Marysię, powiedziała.

— Więc teraz kochana mama pójdzie z nami do niej?...

— Czyliż i tego jeszcze macie wymagać po mnie?

— A jakżeby mogło być inaczej? Wszakże Marysia jest żoną Prezesa i panią domu... Czyliż jej należy przyjść tu i pierwszej przemówić?.. Niech droga mama pójdzie i zbliży się do niej...

— Ciężko to dla mnie moje dzieci, rzekła p. Podkomorzyna, lecz dla was i to zrobić już muszę. Jednakże proszę was i przykazuje, abyście przed nikim w świecie nie powiedziały żeśmy były w tym domu i widziały Marysię; bo wiecie, że jeśli tylko włościanki nasze dowiedzą się o tem, to nie jedna doradzi sobie podobnie Marysi.

I p. Podkomorzyna w towarzystwie córek wyszła do bawialnego pokoju. Marysia postrzegłszy ją, z radośnym okrzykiem skoczyła ku niej, i rzuciwszy się w te same ramiona, które ją niegdyś potrącały, ucałowała je z oznaką uszanowania.

Wzruszona takim znalezieniem się p. Podkomorzyna, wzdrygnęła się i zapłakała rzewnie, i chwyciwszy w swoje objęcia Marysię, ścisnęła i całowała ją w milczeniu. Nareszcie, westchnąwszy boleśnie, wyrzekła głosem przerywanym łkaniem:

— Przebacz mi droga Marynio bezbożne moje postępowanie z tobą! Ja czuję teraz ilem zawiniła, i ile ty powinnaś czuć urazy do mnie...

— Nie, pani, nie ja nie czuję do ciebie, odpowiedziała rozrzewniona Marysia, ścisnąc i całując p. Podkomorzynę. O wszystkim już zapomniałam w objęciach pani... Kocham cię i szanuję jak matkę, i mąż mój i dzieci nasze będą cię szanować i kochać...

P. Podkomorzyna w rozczuleniu nic więcej powiedzieć nie mogła, i scena ta zakończyła się serdecznem wzajemnem uściśnieniem obu rodzin, i błogostawieństwem danem przez p. Podkomorzynę trójgu dziatkom państwa Prezesostwa, które biorąc na ręce, całowała na przemiany. A gdy wszyscy przepelnieni słodkiem uczuciem wzbudzonem na taki widok, uspokoili nakoniec swoje wzruszenia, p. Pre-

zes opowiedział kolej swego ożenienia z Marysią, którą pokrótce tu powtórzymy. —

Od czasu zniknięcia Marysi do jej spotkania z p. Podkomorzyną, pięć lat już ubiegło. Lękając się smutnego losu, jakiby ją czekał, jeśliby została żoną pijaka, porzuciła dom krewnych i poszła gdzie ją oczy poniosły. Przemknąwszy się potajemnie przez granicę Królestwa polskiego, o cztery mile odewsi p. Podkomorzego odległą, przyszła do pierwszego jakiego się zdarzył po drodze dworu, i opowiedziała właścicielom jego przygodę, dla której musiała opuścić rodzinne strony. Litościwi p. Prezes i jego żona, przyjęli ją za pokojówkę, i rychło przekonali się że jest uczciwą i dobrą.

Ale p. Prezesowa była słabego zdrowia, i właśnie w tym czasie powiła drugą córkę. To ją przyprawiło o wielką niemoc, za którą nastąpiła długa i nieuleczona choroba. Marysia szczerze przywiązana do swej pani, po całych dniach i nocach czuwała przy niej, doglądając oraz jej dzieci i mając oko na rząd gospodarki w domu. P. Prezesowa bardzo polubiła Marysię, i w przedśmiertelnej słabości, prócz niej, męża i dzieci, nikogo nie chciała mieć przy sobie; a umierając zaleciła mężowi oddać całą swą garderobę Marysi, i na jej ręku skonała.

Dwie osierociłe córeczki drugą matkę prawie znalazły w Marysi. Oddana jedynie

tym dziatkom, tak je pokochała i przywiązała do siebie, że ani chwili być bez niej nie mogły, a starsza czteroletnia dziewczynka, często ją nawet nazywała mamą.

Tymczasem rok przeszło upłynął od czasu owdowienia p. Prezesa, którego domem zarządzała Marysia. Wnikając w każdy szczegół gospodarki, dbając o wszystko jak o własne dobro, i z nieporównaną troskliwością opiekując się dziećmi, niezmiernie zobowiązała sobie ich ojca. Już on przywykł nie uważać Marysi za służącą, lecz raczej za przyjaciółkę nierozdzielnie połączoną z jego domem i dziećmi.

I Marysia też zostając w takim położeniu, umiała się do niego zastosować. Nie tylko jej powierzchowność i układ nadawały niezaprzeczoną wyższość nad sługami i osobami, któremi była otoczona, lecz jej obejście się nawet i znalezienie w towarzystwie, okazywały ten stopień wykształcenia, który zaleca dobrego tonu i wychowania kobietę.

W takim stanie były rzeczy, gdy jeden z oficjalistów p. Prezesa, oddalając się od niego, oświadczył że się chce żenić z Marysią. Ale ona odpowiedziała mu, iż za nic nie opuści domu p. Prezesa i jego dzieci, chociażby jej przyszło nigdy nie wyjść za mąż. Starający się nie poprzestał na tem i prosił p. Prezesa o pośrednictwo.

Marysia dowiedziawszy się o tem, z taką

szczerością i rozrzewnieniem wynurzyła p. Prezesowi powody swego przywiązania do jego dzieci, iż p. Prezes czule uścisnął Marysię, dziękując za jej dobroć. A gdy starsza jego córeczka, zrozumiawszy o co rzecz idzie, objęła piastunkę swoją i zawołała, iż za nic nie pozwoli aby jej mama poszła zamąż i wyjechała — p. Prezes ucałował dziecię i upewnił, że nie pójdzie i nie wyjedzie: — gdy zaś tegoż wieczora Marysia przyniosła do niego usypiającą na swoim ręku młodszą jego córeczkę — on całując dziecię, oświadczył Marysi, że koniecznem jest życzeniem jego, ażeby wyszła zamąż, zostając matką sierot, które tak pokochała szczerze, i panią domu, którym tak godnie rządzić umiała. Marysia zdziwiona nie śmiała zrazu temu wierzyć, lecz uwierzyła, gdy wkrótce potem została żoną p. Prezesa.

* * *

Rodzina p. Podkomorzego dni kilka bawiła w gościnie; a skoro wróciła do domu, pomimo największą tajemnicę, w tydzień całe sąsiedztwo p. Podkomorzyny, już wiedziało o świetnym losie jej pokojówki.

SONETY

Antoniego O...

I.

Aż dotąd usta moje okuło milczenie,
Dotąd niemy, nieczuły, błądy na kształt głazu,
Że cię kocham nad wszystko, nie rzekłem ni razu,
Tylkoś w oczach czytała twoje ubóstwienie.

I dawno ci nietajne były me płomienie,
Lecz dziś żądam od ciebie uczuć twych obrazu;
Na wydanie ich dosyć jednego wyrazu —
Tym roztrzygniesz na wieki moje przeznaczenie.

— Dobrze — lecz kiedy powiem kto jest dla mnie miły,
Dla kogo bije serce, kto ręki mej panem,
Przysiąż mi, że nad sobą nie będziesz tyranem. —

— Rozumiem! — dalej słuchać nie mam więcej siły,
Dość na tem! — Czemu miotasz okiem obłąkanem?
— Bądź zdrowa! — Ach gdzie idziesz? dokąd? — Do mogiły.

II.

Dość tego! jutro musi paść wyrok mej doli,
 Jutro czyli mię kocha, sam u niej zapytam,
 Niebo lub potępienie w jej oczach wyczytam,
 Do jutra tylko niech serce przeboli.

Pójdę i stanę przed nią, czule ją powitam,
 Samotną błagać będę o kres mej niewoli,
 Przypadnę do nog, w licu utkwię wzrok sokoli,
 I przeniknę do duszy i cień myśli schwytam.

Jutro! ma śmierć lub życie w jej ustach zawisnie,
 Jedno słowo... a wszystkie troski moje miną —
 Przed nią, świat, ludzie, wieczność, niebo dla mnie zginą...

Jedno słowo!.. a rozpacz jad w serce me wciśnie;
 Już więcej dla mnie drugie jutro nie zabłyśnie —
 Teżże nocy me oczy snem wiecznym zapłyną.

* * *

III.

Dotąd płonne nadzieje żywiłem w mej duszy:
 Że mię kocha, czyż kiedy jaki dowod miałem?
 Tylkom i ją utrudzał natrętnym zapałem
 I sobie coraz nowych szukałem katuszy.

Próżno! już moja miłość jej serca nie wzruszy.
 Za to że ją tak wiernie, tak czule kochałem,
 Zimna litość jedynym będzie mi udziałem,
 Łezka... tę wnet za lubym westchnienie osuszy.

Dość! — on się już natrzęsa jej wyborem dumny —
 Ja idę gdzie w kurhanach smętarza powierzchwie,
 Pomiędzy grobowemi błąkać się kolumny.

Tam ze znikłą nadzieją pamięć o niej pierzchnie,
 Tam od niej oderwany, przykuty do trumny
 Doczekam aż dzień dla mnie na wieki zamierzchnie.

IV.

Okrutna! tak więc mało cenisz mą niedolę,
 Że mi pokoj zatruwszy, śmiesz igrać z rozpaczą?
 Lecz pomnij, że nieszczęścia twoje dni odznaczają,
 Odkąd ślad zgonu Judy, w mem napotkasz czole —

Czomu wznieciwszy ogień pierś moję trawiący,
 Odtrącasz mnie od siebie... i jeszcze z uśmiechem,
 Lubo wiesz że cię wspomnę z ostatnim oddechem,
 Że ciebie tylko szukać będzie wzrok gasnący?

Lecz kiedy mnie pochłonie grobu zapadlina,
 Gdy warga skamienieje, co mój byt przeklina,
 Czyż pokoju twe serce wówczas nie postrada?

Pomnij! gdy dla mnie czarna zajękuje godzina,
 Duszą twą nieuspiona zgryzoła zawłada;
 O! wówczas mnie i tobie już na wieki biada! —

V.

Czyje czoło zamłodu zorały cierpienia,
 Kto wcześniej z czary nieszczęść pił rozpachy jady,
 Czyją myśl zameciły gorzkich wspomnień gady,
 W tym już czucie zamarło, znikł powab istnienia.

Już go więcej nie łudzą marne urojenia,
 Dziko patrzy na rzadkie dawnych uciech ślady,
 Życie mieni cieżarem, tęskni do zagłady,
 I kluąc dołę, przeklina pierwszą chwilę tchnienia.

Serce jego podobne do lawy wulkanu,
 Wrzało niegdyś zapałem uczuć tak namiętnych!...
 — Dziś stygnąc, do nicości dąży oceanu;

A łzy co czasem sączy, pośród dumań smętnych,
 Które do mogilnego spływają kurhanu,
 Są podobne do morza martwego wód mętnych.

SPIS RZECZY

w Zeszycie pierwszym zawartych.

- Od Wydawcy. Str. 5.
Do postrzeżeń lekarskich artykuł nadesłany przez
Teodora Narbutta — 9.

HISTORJA.

- Wiadomość o źródłach słonych w Litwie, przez
tegoż — 47.

LITERATURA.

- Marysia. Zdarzenie prawdziwe, opowiedziane
przez ***** — 26.
Sonety Antoniego O... — 47.

Koniec.

